



**Sonata
marymoncka**

**MAREK
HŁASKO**

Marek Hłasko

SONATA MARYMONCKA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-91-4

Copyright © Agnieszka Czyżewska-Stempa, Małgorzata Wolf

Tekst: PIW, Warszawa 1982

I

Uliczka była brudna, przycupnięta drewnianymi domkami, jak inne ulice Marymontu: błotniste i krzywe, tak jakby je ktoś pijanymi krokami wyznaczał. Parę anemicznych, zakurzonych drzewek, trochę cherlawej zieleni, połamane spróchniałe płotki, z których już dawno spelzła farba, sklep z warzywami i piwem, na rogu krzywa latarnia. To wszystko. Nawet nie można napisać, że bruk był wyboisty i dziurawy. Wcale go nie było. Podczas jesiennych deszczów ulica zamieniała się w czarną kałużę, po której puszczało się łódki zrobione z gazety.

W ciągu lat ludzie przyzwyczaili się i do krzywej latarni, i do sklepiczarki, grubej Masołowskiej, która z nich zdierała przez ten cały chudy czas: trochę dlatego, że wiadomo – sklepiczarka po to jest, aby zdierać, a trochę dlatego, żeby samej na żebrzy nie pójść z torbami.

Tu urodził się Ryszard Stanisław Lewandowski. Marymonciak, furmański syn z dziada pradziada. Nowy obywatel przywitał świat krzykiem i potworną ilością mokrych pieluch. Gromada ciotek, kum i znajomych, z akuszerką na czele, była zachwycona.

– Panie Lewandowski, przecież to cały pan! Zobacz pan ten nos, te oczy. Ciu, ciu, ciu – wołały pochylając się nad czerwonym brzydactwem.

Chrzcziny wyprawiono huczne. Długo Marymont pamiętał te chrzcziny. Z orkiestrą nawet, a jakże... Grał słynny muzyk, ślepy Berwiński z Powązek, specjalnie na tę uroczystość przywieziony dorożką. Goście ledwo nabili się w ciasny pokój, z którego zawczasu graty wyniesiono do sąsiadki. Zaproszono całą ulicę, nawet braci Zielińskich, słynnych wyrokowców, za którymi ciągle tęskniły kratki.

– Tylko, chłopaki – upominał ich szczęśliwy ojciec – grzecznie, spokojnie, żeby gościom nic nie zginęło.

Na to znowu Zielińscy byli za honorowi. Gdzie jak gdzie, ale na chrzczinach?... Tak więc stało się, że chrzestnym małego Lewandowskiego został Zygmunt Zieliński, najjuźniejszy bandzior na cały Marymont, Powązki i Wawrzyszew, przed którym drżał nawet słynny Burakowski z Czerniakowa. Nie mówię już o takich jak granatowy dzielnicowy Makowski, który Zygmuntowi stawiał wódkę u Masołowskiej. Wszyscy goście byli zdania, że Ryszard Stanisław przyszedł na świat pod szczęśliwą gwiazdą – z Zielińskimi nie zginie, każdy by chciał mieć takiego chrzestnego... Nie darmo o Zygmunście śpiewali piosenki.

Dzieciństwo dobrze utkwiło w pamięci Lewandowskiemu. Było zwyczajne, jak to na Marymoncie przed trzydziestym dziewiątym. Rano, o bladym świcie, ludzie szli do roboty. Do „Błaszanki” na Kamedułów, do Lewańskiego, niektórzy aż na Wolę, paru do fabryki łóżek Januszkiewicza na Ciepłą. Czasami ktoś z kimś się porznął, czasami policja zajrzała do akuszerki „Aniołkiewiczowej”, kiedyś przybiegli do Masołowskiej, aby jej oznajmić, że widziano córkę Helkę, jak się puszczała z żołnierzem. W nocie następne cała ulica nie spała: tak ją bił stary Masołowski, ciągał za włosy po ziemi, kuł obcasami grzeszne ciało, „za moje siwe głowę taki wstyd na całe ulice”... Za parę dni poszła z domu. Stary pił parę wieczorów, krzyczał, że zabije, jak spotka. Potem przyszło, ulica zapomniała, i tylko czasem młodszy Zieliński, wracając po pijanemu nocą, czepiał się opłotków i śpiewał:

Ach, moja mamó, jak pragnę Boga,
Chyba już rzucę kureeewski staaan...

Lubił popić i pośpiewać ten młodszy Zieliński. Czasami siadał z guzikówką przed domem o brudnym marymonckim zmroku i śpiewał bez końca, A głos miał żałośliwy, idący tęsknie w ludzkie serca. Harmonia płakała, popłakiwała też stara Masołowska za życiem córki złamanym przez ojcowską zawziętość.

Harmonia wywabiała ludzi, spraszala na jedną chwilkę zapomnienia, wyczarowywała jedną nutkę szczęścia. Nieprawdopodobnego, bolesnego jakiegoś w tej szarzyźnie. Ludzie stali, kiwali głowami:

– Marnuje się pan, panie Zdziśku. Do kina pan pójdź, przedstawiać za artystę. Skąd do pana taki fach?...

Potem rozchodzili się po domach. Masołowska cofała się do swojej nory pachnącej zgnilizną i kiszoną kapustą, harmonia milkła i znowu zostawała tylko krzywa latarnia na rogu, liszajowate, walące się płoty i dzień szary, kołowaty, codzienny, jak ciężkie przekleństwo, o która trzeba było się modlić.

Tak mijały pierwsze lata życia. Lewandowski biegał z chłopakami nad Wisłę do piaskarzy, zakradał się „po owoc” do wawrzyszewskich ogrodników albo kiwał się w piłkę na strzępku wygniecionej trawy. Pożal się Boże, co to była za piłka! Ze szmat, owinięta sznurkami, skopana jak los ludzki w tej ulicy, dla której nawet słońca było szkoda.

Rozstawiali się w dwie partie, bramkę wyznaczali ceglami. Bramkarzem był Rysiek. Nikt nie umiał rzucać się na piłkę tak jak on.

– To ty, Rysiek – pytali koledzy – Albański jesteś, tak?

– Nie – odpowiadał – Zamorra, Romano Zamorra to dopiero bramkarz – żadnego gola w życiu nie puścił.

Mecz rozpoczynał się przy ogłuszającym piskliwym dopingu najmłodszych widzów.

– Gieniek – ryczeli z całego gardła – poooodaj na lewo Jurkowi, aaach. Jurkowi, dobra, teraz waal.

Któryś z zawodników, skosiwszy przedtem większość graczy, walił ze szmacianką na bramkę wyprężonego jak tygrys Ryśka.

– Szpicaaa! Waaaal!

I rzucał się za złudzeniem piłki mały marymoncki Zamorra ze strupiałymi kolanami.

Czasem w święto szli do kina z chłopakami. Patrzył rozszerzonymi z zachwytu oczami, jak Ken Maynard bił w szczękę przemytników, a Tom Mix pruł przez prerię na swoim wspaniałym koniu. Ciężko było potem wracać na swoją ulicę, gdzie prerią był strzęp wygniecionej trawki, a „saloonem” obskurna nora Masołowskiej.

I Ken Maynarda nie było. Chyba tylko Zygmunt Zieliński. Ale znowuż ten był niski, szeroki w zadzie, z mordą ospowatą. I colta nie miał – tylko cyganka firmy „Gerlach”.

Niedługo zresztą nacieszył się Lewandowski swoim chrzestnym. Bo oto do jednej z licznych o nim piosenek układanych na Pawiaku, a nawet Świętym Krzyżu, przybyła nowa zwrotka:

Wtenczas kapusie chwycili browning,

Oddali strzałów – trzydzieści dwa.

Upuścił noża – opsło się ciało,

Tak go policja zabiła.

Do szkoły Lewandowski chętnie chodził. Nie była to chęć nauki – raczej chęć poznania życia. No cóż – już wtedy zauważył, że życie różni się nieco od tego, co jest napisane w szkolnych książeczkach. Inaczej żyli tam, inaczej w domu, na ulicy, u sąsiadów. Niepokoiło to Lewandowskiego: w książkach tatuś i mamusia, tacy ładni jak na pocztówce „Z powinszowaniem imienin”, długo i zawile tłumaczą synkowi, że kota nie wolno ciągnąć za ogon, bo to grozi piekłem. To samo twierdził ksiądz, popierając swoje prawdy linijką. A ojciec Lewandowskiego nie miał ani blond włosów układających się w piękne pukle, ani miłego uśmiechu przyklepionego na stałe do ust. Nie. Ojciec często pił, właściwie – rzadko bywał trzeźwy, tłukł matkę i awanturował się na całą ulicę. Tak – myślał mały Rysiek – ksiądz buja. Książki też. Nie miał nawet namiastki dzieciństwa, tamtego, kolorowego...

Ojciec po pijanemu krzyczał do matki: „Ty stara, taka nie taka.” Czy tak by powiedział ojciec Ali z elementarza?...

Ojciec nie tłumaczył, że grzech i tak dalej... Używał dużo cięższych argumentów w rozmowie z synem. I Rysiek raczej unikał pedagogiki ojcowskiej. Ala nie miała szczęśliwego dzieciństwa.

Bardziej wyrozumiały był chrzestny. Czasami w przystępie dobrego humoru, przeważnie pod gazem, dawał mu parę groszy na kino. I Lewandowski biegł do „Praskiego Oka” albo do „Roxy” na Wolę popatrzeć na *Jeźdźca w masce*.

Tego chrzestnego wszyscy rówieśnicy zazdrościli Lewandowskiemu. Był to naprawdę bohater znany na Marymoncie. Kiedy niekiedy opowiadał Lewandowskiemu o swoich wyczynach, pokazywał tatuaże.

– Co to jest? – pytał Lewandowski pokazując na poplątany emblemat kotwicy, miecza, krzyża i podkowy:

– To – objaśniał Zieliński – grób marynarza. Tak to się nazywa. A to torpedowiec „Rysy”, to Urkes, żydowski bandyta, a to, a to...

– Wiecie, chłopaki – mówił potem Lewandowski – on ma węża. Zaczyna mu się na dużym palcu u prawej nogi, idzie po łydce, okręca się parę razy i łeb z żądłami wystawia na piersi. W kolorach zrobiony, jak pragnę zakwitnąć!

Kiwali głowami z niedowierzaniem. Mieć takiego chrzestnego – no, no!

Sam Lewandowski żałował, że Zygmunt nie jest jego ojcem. Zieliński zawsze miał forszę, a w domu bida szczyrzyła się ze wszystkich kątów. Ale cóż, kiedy Zielińskiego już nie było.

Rysiek marzył wtedy o rowerze. Nie potrafił wyobrazić sobie większego szczęścia jak własny rower. Taka solidna balonówka firmy „Kamiński”. Czasem granatowy Makowski dał mu się przejechać pod ramą. Eeech! – życie jest jednak piękne: Ken Maynard, rower, opowiadania Zygmunta...

W trzy miesiące potem niebo rozszalało się łunami, ziemia stękała od wybuchów. I znowu – dlaczego? W szkole Rysiek śpiewał z innymi dziećmi: „Marszałek Śmigły-Rydz tra-la-la-la...” Dziadek patrzył surowo z portretu na ścianie. Ojciec poszedł jeden z pierwszych – miał kategorię A. I znowu nie tak jak w książkach, cholera!... Tam legionista, idąc na wojnę, jedną rękę kładł na głowie syna, drugą obejmował matkę, mówił: „Świta już jutrzeńka wolności, bić idę hordy bolszewickie...” I można się założyć, że gdyby miał trzecią rękę, wskazałby na białego orła, który wzlatywał w rogu pokoju. Następnie tłumaczył synowi, że musi być dzielny i opiekować się matką A ojciec? – Gówno będzie, nie cud nad Wisłą – rzekł ojciec. Upił się na ostatek, nawymyślał od najgorszych wszystkim Rydzom na świecie i poszedł w zawieruchę. Z tego Rysio wywnioskował, że ojciec nie będzie drugim księciem Józefem Poniatowskim.

Ojca już więcej Lewandowski nie zobaczył. Zginął gdzieś w wojennej zawierusze. Dopiero po dwóch latach Lewandowska dowiedziała się, że zginął gdzieś nad Narwią.

Nie od razu okupacja wydała się Lewandowskiemu czymś strasznym. Z początku nie było ojca, który bił po pijanemu matkę i jego. Te sceny z dzieciństwa najbardziej utrwaliły się w pamięci Lewandowskiego: matka osłaniająca się rękami, rozwścieczony ojciec, który potrafił kopnąć gdzie popadło, awantury uliczne, harmonia Zielińskiego, grzeszna córka Masołowskiej.

Ojciec nie był awanturnikiem na miarę Zielińskich. Szukał ucieczki przed lamentami żony o pieniądze, przed głodnymi oczyma małego Ryśka. Mały nie pamiętał go innym, jak tylko chwiejnego, z tym kwaśnym odorem wódki. Kiepską miał opinię tatuś Ryśka. „Furman, wiadomo – mówili wszyscy – ankoholik, żonę bije...” Nawet rówieśnicy Ryśka śpiewali:

A mój tato furman, furman,

Co zarobi, odda kurwom.
A ja będę taki sam,
Co zarobię, to im dam...

Rysiek osłaniał pamięć ojca jak mógł. Rozbijał nosy śpiewakom, wybijał szyby kamieniami. Chodził pokieroszowany, z twarzą posiniaczoną, ze śliwkami na głowie, ale zwycięski. Pomału i do niego przyłgnęła opinia łobuziny. „Dobre ziółko ten mały Lewandowszczyk – mówili inni – w tatusia się wdał.”

Tak więc mijało radosne dzieciństwo. W drugim roku wojny matka zaczęła jeździć na szmugiel. Ryśka brała ze sobą, bo podobno kobiet z dziećmi żandarmi nie zagarniali. Jeździli więc do Sochaczewa, Pułtuszka czy po bimbler do Rembertowa. W zadymionych pociągach, w szmuglerskich melinach, na „Witkowszczyku” Rysiek poznawał ludzi. Już wtedy Lewandowski rozumiał, że jedyną realną wartością w życiu jest pieniądz. Za pieniądze można wszystko kupić – bez tego ani rusz.

Zarabiali teraz dobrze: lepiej, niż im się kiedy marzyło. Matka nosiła pieniądze w wyszmelcowanym woreczku na szyi i woreczek zawsze miał solidny kształt. Matka odbijała sobie za wszystkie lata nędzy. Kupowała, co tylko pod rękę podlażło: biżuterię, pończochy, rozmaite pożydowskie rzeczy. Jedli dobrze – najtłuściej, jak tylko umieli, na siłę po prostu. Ale wiadomo przecież, że z przejedzenia jeszcze nikt nie umarł. Nieraz też popili solidnie u siebie na Marymoncie. Rysiek z matką zaliczali się teraz do arystokracji: oni, Masołowska, Makowski, Zieliński, który teraz robił jakieś cudowne interesy w getcie, właściciel domu i rozmaici znajomi z placu Witkowskiego i z pociągu. Czerwona płynęła, chór spitych głosów ciągnął się po Marymoncie, ojciec wyszczerzał się głupekowato z niezdarnie pokolorowanej fotografii nad łóżkiem, pod którą mżyła czerwona żarówka „na intencję”.

Już, już Rysiek myślał, że spełni się jego największe marzenie – rower, gdy tymczasem matkę zabrali żandarmi. Matka miała kenkartę kupioną za drogie pieniądze, ale żandarm uśmiechnął się tylko:

– Du wirst zeigen in Gaskammer. Lypa!

I Lewandowski został sam. Biegał na Skaryszewską, aby dowiedzieć się o matkę, ale bez rezultatu. Mieszkaniami i meblami zajął się gorliwie właściciel domu. Matka rzekomo była winna tyle a tyle – pokazywał Lewandowskiemu wykazy nie zapłaconych czynszów, czegoś tam jeszcze, miał świadków, którzy bożyli się, przysięgali, że Chaciński ma rację, ofiarowali się w sądzie świadczyć za tą gospodarzową prawdą. Zygmunt Zieliński, gdyby żył, na pewno by mnie obronił – myślał Rysiek. Wziął fotografię ojca i zaniósł do Masołowskiej.

– Pani Masołowska, pani to schowa. Jak wrócę, to wezmę.

– I gdzie ty pójdziesz, Rysiu – załamała ręce.

– To już moja głowa – powiedział po dorostem – nie zginę! Niech pani tylko schowa.

Masołowska wzięła fotografię, owinęła w papier i wsunęła pod ladę. Poczęstowała go ogórkiem i Lewandowski poszedł.

W Warszawie nie miał żadnej rodziny. Gdzieś była daleka ciotka, ale teraz te tereny należały do Reichu i nie można było się dostać. Znajomi handlarze z „Witkowszczyka” też nie chcieli go przyhołubić. Był już duży, wyrosnięty na swoje piętnaście lat, do czego był im potrzebny?

Wtedy jeden, handlujący olejem, dał mu adres znajomego młynarza w Mszczonowie.

– Jedź tam, chłopak – powiedział – robota jak raz dla ciebie. Mieszkanie ci da, jedzenie, a młynarski fach nie jest zły.

Wyciągnął pękatą kopertę przewiązaną czerwoną gumką, wyszperał pięćsetkę.

– Masz na szczęście. Nie dziękuj, będziesz miał, to oddasz. No, trzymaj się ciepło.

Orginalny, rzepakowy, pierwszy gatunek! – ryknął.

Rysiek uściśnął dłoń olejarza i pojechał do Żyrardowa. Stamtąd do Mszczonowa musiał iść piechotą dziesięć kilometrów, komunikacji żadnej nie było. Kupił w bufecie na stacji paczkę „Mewek”, dwie bułki z salcesonem i poszedł. Wieczorem deptał już krzywy mszczonowski bruk.

Wyciągnął kartkę z adresem: „Młynasz Andżej Małek, z rynku na lewo”, przeczytał koślawe litery. Z gramatyką ciężiej szło olejarzowi.

Małek wcale nie miał młynarskiego wyglądu. Był niski, suchy, cienkie wąsy zwisały mu żałośnie na zakłęsłe usta. Popatrzył w milczeniu na te piętnaście lat.

– Jaką ja dla ciebie robotę znajdę? Poradzisz ty worek chociaż?

– No pewnie, że poradzę – zapewnił Lewandowski. Małek zaprowadził go do młyna, pod stos spiętrzonych worków. Lewandowski rozglądał się ciekawie.

– Bierz! – wskazał Małek na worki. – Ja ci poddam. Ryśkowi aż dech zaparło. W głowie zaczęło dzwonić i trzeszczeć, przed oczami rozmigotały się czerwone plamy. Zachwiał się niezdarnie na rozkraczonych nogach i poleciał z workiem na ziemię. Tylko pył nabity od lat w szparach desek poszedł z podłogi. Małek roześmiał się.

– Dzieciaku! I czego ty u mnie szukasz?! Lewandowski podniósł się z trudem. Patrzył błagalnie w oczy młynarza, aż tamten odczuł ten wzrok.

– Matkę mam w obozie – powiedział głucho – a nie mam się gdzie podziać.

Małek rozłożył ręce.

– Cóż ja poradzę. Do mnie do roboty się nie nadajesz. Co ja ci za robotę dam, hę?

– To może co innego – zebrał Lewandowski – może sprzątać będę, coś. Matkę mam w obozie...

Młynarz zakręcił się niecierpliwie.

– Nic. Moja wina, że matkę masz w obozie? Mało to ludzi po obozach siedzi? Mnie samemu ciężko – westchnął – chcesz, to się prześpij dzisiaj, a jutro wracaj. U mnie też bida, tylko każą ten młyn prowadzić, to tak się męczę.

Lewandowski otrzepał z pyłu marynarkę, nacisnął czapkę na oczy. Spojrzał uważnie w mysie oczki tamtego – może się jeszcze zlituje.

– Możesz się dzisiaj przespać – powtórzył Małek – a jutro wracaj do Warszawy, Czegóż on do mnie przysłał, ten idiota?...

– Nie trzeba łaski – powiedział Lewandowski.

Odwrócił się i zbiegł szybko po schodach: czuł, jak mu oczy spływają ciurkiem po policzkach. Załomotał skrzypiącą furtką i pobiegł przed siebie, zachłystując się płaczem i wściekłością. Może dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swego położenia. Bez domu, bez niczego – powtarzał sobie dziesiątki razy, podczas gdy włókł się z powrotem do Żyrardowa – bez domu, bez nikogo...

Noc przespał w poczekalni na ławce, a rano elektrycznym pociągiem pojechał do Warszawy. Prosto z dworca pobiegł na plac Witkowskiego. Tu Lewandowski poczuł, że wraca mu humor i nadzieja. Na placu życie szumiało: nawoływali się straganiarze, krzyk ludzi i krzyk drobiu, jęklliwe nawoływania sprzedających bab, tajemniczy szept bliciarzy, wszystko to niosło się nad placem, Warszawa handlowała. Rysiek znał tu każdą budkę i stragan. Wiedział, gdzie można kupić bimber, gdzie złoto i słoninę. Znał każdego tytoniarza, ryczącego „orginalny Viiirginiaa”, każdy kawałek placu, zszurgany nogami miliony razy w ciągu dnia. Nie zginę – pomyślał z otuchą Lewandowski.

W budce, przy samej ulicy Miedzianej, odszukał olejarza.

– To łobuz, cholera – powiedział po wysłuchaniu opowieści Lewandowskiego. – No nic, nie martw się, chłopak! Coś się zawsze znajdzie. Tak, bracie, pamiętaj, za darmo nic w życiu nie ma.

Dał mu klucz od swego mieszkania, nalał setkę bimbru:

– Masz, wypij, rozgrzej się.

Lewandowski wypił niezdarnie.

– A teraz idź. prześpij się, a potem przyjdź tu na plac. Jakby mnie nie było, to wal do Staropolskiego na róg Towarowej. Ja tam będę siedział.

Rysiek obudził się dopiero o siódmej wieczór. Zagrzebał po sobie pościel i poleciał do restauracji. W kącie przy stoliku zobaczył olejarza siedzącego z jakimś dwoma. Jednego Rysiek znał. Wysoki, o oliwkowej cerze, handlarz tytoniem. „Cygan” – przypomniał sobie jego przezwisko. Drugi był szatynem o przystojnej, zblazowanej twarzy. Lewandowski podszedł.

– O, jesteś już – olejarz przysunął mu krzesło – siadaj. Panie Heniu – przytrzymał przelatującego kelnera – coś do zjedzenia. Schabowy może być.

Obcy gość przypatrywał się Ryškowi na wszystkie strony, Musiało mu się nieźle powodzić: na rękę pobłyskiwały pierścienie, solidna złota „Omega”, garnitur miał pierwszorzędny, przez poręcz krzesła przewieszał się gabardynowy płaszcz. Aż błyszczał przy olejarzu i tamtym, którzy byli ubrani w kiepskie, wytarte ubrania. Włosy miał starannie uczesane w piękne fale. Co to za jeden – myślał Rysiek. Na bazarze nie widział go nigdy.

Kelner szurnął talerzem pod nos Lewandowskiemu Tamci rozleli kolejkę, wypili.

– Taak – westchnął olejarz – no, Rysiu, pojedziesz z nim. Nie będziesz miał źle, bracie. Dostaniesz jeść, ubranie, i worów nie będziesz tragał. Poznasz trochę życia, a czasy się zmieniają, wrócisz, pójdiesz się uczyć za fachowca, bo na razie to aby przeżyć.

I Lewandowski wylądował w Radomsku. Sęczek bo tak się nazywał ten, z którym przyjechał, miał tam do spółki z kimś knajpę. Rysiek w granatowej liberii ze złotymi guzikami, w płaskiej czapce z metalowym napisem „Arkadia” był teraz pikolakiem. Tu wszystko było odwrócone; dzień zaczynał się wieczorem. Lewandowski stawał przy drzwiach, otwierał, kłaniał się z szacunkiem mówił tak, jak go nauczyli: „szszzanowanie paanu”, albo: „dziękuję szanownemu panuu”, gdy ktoś wcisnął mu banknot w rękę. Prowadził z szacunkiem do stolika, dostawiał krzesła, bił pokłony, biegał do bufetu po papierosy, pomagał wyprowadzać gości do toalety albo prowadził na górę, gdzie Sęczek ze współnikami zainstalowali w separatkach dziewczynki. Tam prowadził tylko zaufanych gości, takich których wskazał sam szef. Zanośli tam wódkę czy nawet koniak, jak gość był hojny. Biegał po dorożki, windował opite cielska, całował się z zaślinionymi gośćmi i kłaniał się za odjeżdżającą dryndą:

– Moooje uszanowanie paanuu!

Drzwi zamykały się i otwierały, przepływała fala gości. Pijani i trzeźwi, grubi i cieńcy, łysi i nadęci, wszystko to płynęło przez te drzwi. Bardzo podli, tylko [...], idioci kompletni, tylko tacy, o których piszą „czarujący człowiek” itd. – na pewno ci, co cierpieli za ojczyznę [...]

Lewandowskiego nieraz porządnie bolało ramię od pociągania za mosiężny uchwyt. Powoli nauczył się szacować gości. Komu i jak trzeba się ukłonić. Czy zgiąć się w pałąk i wyśpiewać: „moje uszanowanie szanownemu panu doktorowi”, czy wystarczy tylko powiedzieć: „szanowanie!” Kto przychodzi z pieniędzmi, a kto nie. Kto zrobi gruby rachunek, a kto zapłaci tylko za dużą czarną i czystą. Kogo trzeba wprowadzić na salę i poszargać krzesłami, a kto sam przycupnie nad dostygającą kawą. Tych właśnie szefowie najbardziej nie lubili. Było sporo takich gości, przychodzących tylko po to, aby pooddychać tym pomieszaniem powietrzem, nasyconym zapachem kawy, alkoholu, perfum, potu i posłuchać trochę orkiestry, Lewandowski w mig ich odróżniał: stetryczały radca Cibowicz, doktor Rutkowski, żółty, zatabaczony staruszek Terpiłowski. Na tych gości patrzono krzywym okiem.

– Przyjdzie taki stary ramol – mawiali szefowie – i tylko stolik mi blokuje. Siedziałby całą noc, gdyby tylko mógł, psiakrew, i rachunek robi na parę groszy...

To była kategoria gości, której nie trzeba było się kłaniać i „szanować”. Tak więc Lewandowski zdobył cenną umiejętność patrzenia na świat przez mgiełkę pieniądza i taksowania ludzi po kieszeni.

Drzwi zamykały się i otwierały. Minęło już parę miesięcy, Rysiek nie narzekał: jedzenie miał dobre, wyglądał jak pączek, nie narobił się także. Tylko po zamknięciu lokalu poślizgał się trochę na suknach, żeby podłoga błyszczała. Pieniędzy ubił już sporo z „drzwiowego”, napił się, podjadł. Ubrany chodził czysto, głowa świeciła mu od brylantyny, świecił metalowy napis na czapce. Bawiła go trochę ta atmosfera: wódka, orkiestra, pieniądze, pijani goście. Wyślizgał się między ludźmi. Potrafił być nonszalancki i czarująco grzeczny, uśmiechać się majowo i patrzeć zimno, jak gość szamocze się z paltem.

Szefowie też byli zadowoleni: chłopak był jak lalka, sprytny, wiedział, kiedy złapać klienta pod pachę i biec z nim do toalety, żeby nie rzygnął po sali. Pikolak podobał się gościom.

– No – mówili Ryśkowi dyrektorzy – poczapkuj jeszcze trochę i pójdziesz na salę.

Sala była marzeniem Lewandowskiego. Tam dopiero kelnerzy zarabiali pieniądze. Pijanemu gościowi można było doliczyć do rachunku rocznicę bitwy pod Raławicami i też płacił bez reszty. A ile kolejek można było wypić z pijanymi? Nad ranem zwłaszcza było gorąco. Goście skłębieni na parkiecie kołysali się leniwie, inni drzemali przy stolikach. Na małej estradzie Juliusz Łabędzki, w czarnym smokingu, przyciskając rękę do serca, śpiewał z twarzą tragicznie wykrzywioną: „Miłość go zgubiła i dziewczynyina...”

Głos wibrował mu tragicznie, przymykał oczy z wyrazem bólu. Goście byli wzruszeni.

– Mistrzu – prosili – coś dla mnie. *Smutną niedzielę, Notturmo!*

I mistrz, „ulubieniec Warszawy”, śpiewał. Przy stoliku czekał ktoś jakimś pijackim wspomnieniem, jakimś rozpaczliwym płaczem. Lewandowski wiedział, że mistrz wcale nie był z Warszawy, tylko z Piotrkowa Trybunalskiego, wcale nie Łabędzki, tylko po prostu Juliusz Kaczor, i że przedtem śpiewał tylko na imprezach Straży Pożarnej, ale o tym nie mówiło się nikomu.

– Czort z nim – mówili szefowie – Kaczor czy Łabędź, to wszystko jedno. Grunt, że głos ma dobry.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI